

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dlaczego zdecydowaliście się na Norco Valley? — zapytał Samuel Baker nowego kolegę, który wkrótce miał zacząć praktykę w gabinecie na tym samym piętrze. — Na świecie jest co najmniej kilka milionów lepszych miejsc. Zwłaszcza jeśli jest się po traumatycznych przeżyciach.

Hubert Heeney wszedł do gabinetu Bakera, gdy ten zbierał się do wyjścia, przedstawił się, a doktor, nigdzie się tego dnia nie spiesząc, zaproponował koledze filiżankę kawy i świeże domowe ciasto, przyniesione przez jedną z pacjentek. I w ten sposób obaj mężczyźni pograżyli się w rozmowie dużo dłuższej i bardziej zażyłej, niż planowali.

Hubert opowiedział doktorowi o złym stanie psychicznym żony i jego przyczynie.

— Nie miałem wiele czasu na zastanawianie się, musiałem ją stamtąd wyrwać. Każdego dnia było z nią gorzej, żaloba zamiast się od nas oddalać, pożerała nas. Całą rodzinę.

— Ale Norco? — Zafrasowana mina Bakera zastanowiła Huberta. Co takiego było w tym mieście, że zamieszkanie tu mogło im nie wyjść na zdrowie? Dlaczego zdaniem miejscowego lekarza, który zapewne sam mieszka tu od dziesięcioleci, Heeneyowie dokonali złego wyboru?

— A dlaczego nie?

— Hm, jak by to ująć, aby cię niepotrzebnie nie przestraszyć? — zastanawiał się głośno Baker, a Hubert pomyślał, że ma przed sobą albo zdziwaczałego starca, albo osobę z problemami, potencjalnego uczestnika prowadzonych przez siebie zajęć psychoterapeutycznych. — To po prostu bardzo specyficzne miejsce — kontynuował doktor — tak obciążone przeszłością, jak topielec betonowym obuwiem. I równie jak on skore do optymistycznego spoglądania w przyszłość.

Hubert odchrząknął i wycedził cicho:

— Rozumiem. — Chociaż prawda była taka, że nie miał pojęcia, o czym ten człowiek mówi.

— Nie, nie rozumiesz. Może z czasem, jak trochę poznasz tutejszych mieszkańców...

— Jak długo tu mieszkasz?

— Wydaje mi się, że całą wieczność. — Doktor sięgnął po stojący na szklanym stole termos w kształcie dzbanka i dolał sobie kawy. Pytając zerknął na gościa, Hubert podsunął mu swój kubek. — Przyjechałem wraz z żoną ostatniego dnia sierpnia dwa tysiące piątego roku. Mieliśmy zostać kilka miesięcy, ale pracy było tak dużo, a chętnych do pomocy niewielu, że zeszło nam dwanaście lat. Robiliśmy, co w naszej mocy, jednak chaosu po Katrinie i tak nie zdołaliśmy uprzętnąć. Z powodu jej okrucieństwa miasto cierpi do dziś i moim zdaniem to jeszcze potrwa. — Zakręcił termos i odstawił na bok. Wsypał do kubka trzy łyżeczki cukru, dolał mleka, i mieszając, mówił dalej: — Z roku na rok przekładaliśmy wyjazd, chcieliśmy osiedlić się na Florydzie, aby na starość móc wygrzewać kości w słońcu i być bliżej rodziny, ale nie udało się. Tak to bywa, gdy za długo się zwleka. — W tonie jego głosu pojawiła się nuta smutku, lecz się jej nie poddał. — Stefanię pochowałem

trzydzieści miesięcy temu. Wylew, trzy dni w śpiączce, a potem Floryda. — Palcami zebrał ze swojego talerzyka ostatnie większe okruchy ciasta i włożył je między różowe wargi. — Dziwi cię to?

Hubert się zawahał. Owszem, dziwiło go, lecz zaczynał się przyzwyczajać do szczególnego sposobu, w jaki doktor opowiadał o świecie.

— Taka była jej ostatnia wola? — domyślił się.

— Na długo zanim zmarła, zaczęła mówić o tym, że nie chce być tutaj pochowana, że gdyby cokolwiek się stało, zanim stąd wyjedziemy, mam zabrać jej ciało w inne miejsce. Gdziekolwiek, byleby nie zostało w Norco Valley. — Smutno uśmiechnął się do tych wspomnień. — Więc zabrałem ją na Florydę. Mieszka tam nasza córka, zostawiłem żonę pod dobrą opieką.

— A dlaczego ty wróciłeś, doktorze Baker?

— Codziennie zadaję sobie to pytanie. — Jego wypięgnięta broda uniosła się wraz z kącikami ust. — Może to głupie, ale miałem poczucie niedokończonej misji. Zupełnie jakby czekało tu na mnie coś, co jeszcze powinienem zrobić. Tłumaczyłem sobie, że to idiotyczne i prawie udało mi się samego siebie o tym przekonać...

— Prawie?

— Tak. Bo gdy wróciłem pozamykać ostatnie sprawy, spotkałem tu pewną dziewczynę. Była już noc, a ona snuła się ulicami z plecakiem na ramieniu. Nie wyglądała na miejscową. Szukała taniego noclegu.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że...? Samuelu, o to bym cię nie podejrzewał. Dopiero co pochowałeś żonę! Stary doktor roześmiał się, a Hubert mu zawtórował.

— Gdybym miał twoje lata, to może? — Myśl o tym, że coś intymnego mogłoby go połączyć z Amy, wydawała

mu się tak niedorzeczna, że nie mógł przestać się śmiać. — Dziewczyna jest fantastyczna, nie da się ukryć, ale z pewnością nie dla mnie.

— Koniecznie muszę ją poznać — zamruczał Hubert i znowu się roześmiali.

— Zatrudniłem ją — kontynuował Baker. — Wydawało mi się, że jej pomagam, była sama w obcym mieście, potrzebowała mieszkania i pracy. Szybko jednak przekonałem się, że to nie ja pomagam jej, ale ona mi. Do dziś uważam, że to Stefania, świadoma tego, jak bezradny jestem po jej śmierci, przysłała tu Amy.

Takie tłumaczenie, pomyślał Hubert, świadczy o poczuciu winy. O ileż łatwiej jest utrzymywać bliską relację z młodą kobietą, będąc przekonanym, że zmarła niedawno żona to akceptuje. Skoro sama ją do niego przysłała, nie może być podejrzeń o niemoralność.

„Bez względu na to, co łączy cię z tą dziewczyną, czujesz się zdrajcą” — pomyślał Hubert. Lubił wystawiać diagnozy, choć nie zawsze były trafne.

Jednak osobiste rozterki Samuela Bakera mogły zaczekać. Heeney nie sądził, aby ten człowiek kiedykolwiek zdecydował się zasiąść na kozetce w jego gabinecie, ale okazji do przyjacielskich pogawędek zapewne będą mieli wiele.

Bardziej niż Amy czy Stefania interesowała Huberta Katrina.

— Jak tu było w sierpniu dwa tysiące piątego roku, gdy przyjechaliście do miasta? — zapytał, przygotowując się na dłuższą opowieść.

Doktor Baker przeciągnął dłonią po brodzie i na chwilę przygryzł dolną wargę; zastanawiał się, od czego zacząć. Wstał ze swojego wytartego krzesła obitego imitacją skóry

i poszedł domknąć okno, przez które od jakiegoś czasu ci-
cho pogwizdywał wiatr.

— Prowadzisz? — zapytał, idąc przez gabinet.

— Żona po mnie przyjedzie.

— To dobrze. — Zanim usiadł, nachylił się i z szafki pod stołem wyjął butelkę szkarłatnego płynu. — Jedni przynoszą ciasto, inni nalewkę ziołową — powiedział, obok butelki stawiając dwa plastikowe kubki. — Niestety, nie mam szklaneczek, nieczęsto zdarza mi się pić w gabinecie.

Zebrał talerzyki i odstawił je na koniec stołu, gdzie pię-
trzyły się jakieś papiery, być może karty pacjentów. Hubert
w tym czasie rozlał alkohol do kubeczków.

— Mogę pozwolić sobie co najwyżej na kilka łyków —
powiedział Baker. — Wieczorem mam wizyty domowe.
Lecz zupełnie na trzeźwo nie umiem mówić o Katrinie —
wyznał, chwytając za kubek i gestem zapraszając kolegę,
aby poszedł w jego ślady. Nalewka smakowała jak syrop
na kaszel, Hubert przełknął ją właśnie tak, jak przelyka się
lekarstwo. Inaczej Baker, on wyraźnie się nią delektował.

— W mieście znaleźliśmy się w ramach pomocy hu-
manitarnej, w kilkadziesiąt godzin po przejściu huraganu,
choć w tamtej chwili trudno było uwierzyć, że istniało
tu kiedyś miasto. Jedyne budynki, który nie ucierpiał, był
jednocześnie najstarszy, to siedziba lokalnych władz i cen-
trum kultury, kino, biblioteka i takie tam... — Od nie-
chcienia machnął ręką. Zapewne go widziałeś, to ten na
wzgórzu. — Hubert przytaknął. Przypominającą pałac
starożytnych bogów monumentalną budowlę można było
zobaczyć z każdego punktu w mieście i jeszcze długo po
opuszczeniu jego granic. — Płynęliśmy na wojskowych
pontonach — kontynuował Baker — po rozlewiskach,

z których wystawały kominy domów, części dachów, grube pnie drzew połamane jak zapalki. [...]

Co jakiś czas, aby przepłynąć między zwałami najróżniejszych odpadów, musieliśmy wyłączyć silnik, a wtedy dosłownie spadała na nas bolesna cisza. Zupełnie jakby ktoś nakrył nas szklaną kopułą. Ta cisza wwiercała nam się w mózgi, Stefania ścisnęła moją dłoń, a łzy lały jej się z oczu strumieniem. Wyobraź sobie — zmarszczył brwi, a na jego twarzy pojawił się wyraz udręczenia — ani jednego ptaka, żadnego samochodu, żadnego drzewa, na którego gałęziach mogłyby szumieć liście, najmniejszego nawet odgłosu z od-dali. [...]